

# Wspomnienie o ogierze Aquino

Anna Sas-Jaworska

W dniu 4 listopada 1972 r. Aquino skończył życie. A ponieważ z tym pięknym koniem, pierwszym bardzo cennym ogierem kupionym w Anglii z prywatnej hodowli Maharoni of Baroda, związane były moje losy, dlatego pragnę o nim napisać kilka słów.

Dwudziestego stycznia 1954 r. jechaliśmy po raz pierwszy do Kozienic. Mąż mój wprawdzie uważał, że żona przeszkadza w pracy zawodowej i zanadto absorbuje, zdecydował się jednak ożenić. Jadąc z ogierem Aquino przez Warszawę obiecano i mnie zabrać. Zostałam powiadomiona telefonicznie z Sopotu, że z powodu sztormu na Bałtyku koń przybędzie z opóźnieniem. Wobec takiej sytuacji muszę zająć się sama wszystkimi formalnościami związanymi z naszym ślubem. Mąż obiecał być w kościele na oznaczoną godzinę, ale na załatwienie prywatnych spraw nie będzie miał czasu — tak jest do dzisiaj, nic się nie zmieniło.

Dwudziestego rano zbudził mnie telefon, mam się szybko ubierać, Aquino w Warszawie, jedziemy na Dworzec Wschodni zobaczyć konia. Nim dojechalśmy, wagon wiozący konia przetoczono już na bocznice koło Olszynki Grochowskiej. Dojeżdżamy pustym pociągiem schodzącym z trasy, skaczemy przez płataninę szyn,

docieramy wreszcie do wagonu, gdzie mój mąż przedstawił mi trzech masztalerzy kozienickich, którzy eskortowali konia. Usłyszawszy, że tę panią wieziemy razem z Aquinem do Kozienic, mieli co najmniej zdziwione miny. W tym to wagonie nastąpiło moje pierwsze spotkanie z Aquino. Wydawał się zupełnie nie zmęczony długą podróżą.

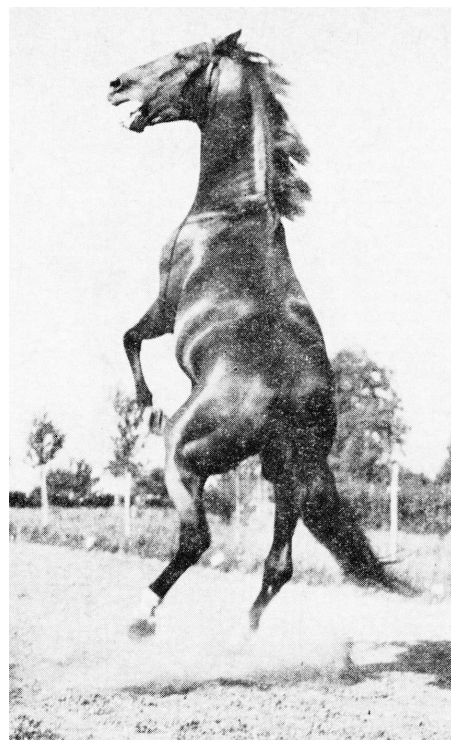
Nie było jednak czasu na bliższą znajomość, ponieważ zbliżało się już południe, a pozostało jeszcze masę spraw do załatwienia związanych z naszym ślubem. Wskoczyliśmy z wagonu, dotarliśmy na Dworzec Wschodni, a potem wpadliśmy do restauracji na MDM. żeby coś zjeść.

Z automatu mąż zadzwonił do Centralnego Zarządu Hodowli Koni, do dyrektora Kurowskiego, informując obszernie o szczegółach dotyczących konia. Ponieważ prasa wcześniej pisała o tym cennym zakupie (kosztował 20 tys. funtów angielskich) nikt się z czekających przy automacie telefonicznym nie niecierpliwił i spora grupka zebranych przygodnie osób z zainteresowaniem nadstawiała ucha. Po długiej informacji na temat konia, mąż na zakończenie dodał, że poza tym zdecydował się ożenić — stojąca grupka ludzi ryknęła śmiechem.

W tym czasie pociąg wiozący Aquino ruszał z Dworca Wschodniego; w Dęblinie mieli na nas czekać. Zaproponowano nam samochód, ale odmówiliśmy, chcieliśmy jechać razem z koniem.

Po wszystkich ceremoniach i pierwszych toastach za zdrowie młodej pary, mknęliśmy „Warszawą” ze starym znajomym — panem Zygmuntem Niedziałkowskim za kierownicą, na dworzec. Gdy wpadliśmy na peron zapowiedziano właśnie odjazd pociągu do Dębina. Zawiadowca widząc młodą parę (ja z bukietem białego bzu) wstrzymał odjazd; p. Zygmuntowi udało się wrzucić nasze bagaże i pociąg ruszył.

W Dęblinie czekał na nas Aquino. Przeniesiono nasze bagaże do wagonu, w którym jechał koń, a my



Fot. P. Mystkowski.

dosiedliśmy do niego na dalszą część podróży. Zaproszeni na piwo kolejarze dęblińscy składali nam życzenia, przyglądali się ciekawie koniowi i mnie.

Dojechalśmy wreszcie do Kozienic. Mnie „wyładowano” od razu. Na stacji czekały konie i ciepła baranica. Aquino został w wagonie do rana. Rano z powodu szalonej ślizgawicy posypano piachem drogę na trzykilometrowej trasie od stacji do Stadniny.

„Prowadzą go jak biskupa” — słyszało się od ludzi — Aquino bowiem miał piękną wyprawę: wełniana derka, kaptur na głowę i uszy, oraz ochraniacze na kopyta i kolana. Ludzie zgromadzeni na trasie oglądali go z wielką ciekawością.

Rano na zbiórce załogi, mąż mój podkreślając, że właśnie zaufanie do załogi stadniny kozienickiej spowodowało umieszczenie cennego nabytku u nas, dodał na zakończenie, że od wczoraj na tym terenie jest nowa osoba — jego żona — którą obowiązują te same przepisy itd.

Dostaliśmy życzenia od koniarzy zgromadzonych na kursie, w Racocie, nie znali szczegółów o nas, doszła ich tylko wiadomość, że „Jurek się ożenił” — narysowali Aquino przykrytego derką, a przed nim parę składającą przysięgę, pannę młodą w welonie (niczego podobnego nigdy nie miałam) i pana młodego w mundurze koniarza — zrobili nam tym wielką przyjemność. Przechowuję te życzenia wśród najmielszych mi pamiątek.

Tak zaczęły się nasze pierwsze dni w Kozienicach. Wkrótce Aquino zachorował. Zmęczony zbyt troskliwą opieką lekarską szalał na widok białego fartucha. Przez okres choroby nie odstępowano konia. Dyrektor Kurowski, doktor Falewicz i inni z uwagą śledzili przebieg choroby, wspólnie ustalono metody i sposób leczenia. Po kilku dniach gorączka spadła, Aquino szybko wrócił do zdrowia. Zaczął się pierwszy pracowity sezon. Zjechały najpiękniejsze i najznamienitsze klacze ze stadnin naszych i sąsiadów. Dla dobrosąsiedzkich stosunków zależało, żeby wyjechały żrebne. Aquino miał swoje sympatie i antypatie. Była taka klacz, na którą nawet spojrzeć nie chciał; wyjechała jak przyjechała, z niczym.

Aquino był niesłychanie łagodnego usposobienia, na przeglądach hodowlanych, mimo przybywających lat zawsze budził zachwyt — wspaniała był w ruchu. Jego piękna szyja, ruchy głowy i pełne wyrazu oczy zostaną na długo w pamięci tych, którzy go oglądali. Jego córki „aquinianki” wyróżniały się urodą; dał wiele cennych matek. Pierwszy syn — Cedric — zdobył nagrodę Derby w 1957 r., został potem sprzedany do ZSRR na reproduktora.

Aquino lubił się bawić. Wspinał się, skubał delikatnie wargami — był niesłychanie towarzyski. „Śmiał się” unosząc lekko wargi, pokazując zęby i rozwierając szeroko nozdrza. Był zawsze pełen wdzięku. Często wieczorami zachodziłam do niego, bardzo lubił głaskanie, jak potężny kociak prężył się opierając całym ciężarem o ścianę i kraty, by jak najbliżej być głaszczącej go osoby. Był to naprawdę wyjątkowy koń. Przez przeszło 18 lat stanowił zawsze wielką atrakcję; przyjeżdżali hodowcy z całego świata, zjeżdżali wycieczki, obejrzały go tysiące ludzi, zawsze z tym samym zaciekawieniem i podziwem.

Na krótki okres wyjechał do Iwna. Pożegnałam go w wagonie na stacji w Kozienicach. Zawiozłam mu groszki pachnące, pół bukietu rozskubał mi w rękę a z resztą zatkniętą za kantor dojechał do Iwna. Radość moja była wielka, kiedy zdecydowano, że Aquino wraca do Kozienic. Odtąd zawsze po przeglądzie dopytywałam się czy nigdzie go nie zabiorą znowu? Aż uświadomiłam sobie z goryczą usłyszawszy, że Aquino ma dożywocie w Kozienicach, że jest za stary na jeżdżenie, że nikt na niego już nie czeka. Jak nieubłaganie szybko minął czas, przyjechalśmy jednej nocy, oboje bardzo młodzi.

Trzeciego listopada 1972 r. Aquino zachorował. Powiedziano mi, że to pewnie koniec. Nie mogłam w to uwierzyć. Gdy pobiegłam do stajni, zastałam go leżącego w boksie. Na pytanie: „Aquino co tobie?” podniósł głowę — poznał mój głos. Zrobiło mi się strasznie smutno. Dałam mu marchew, zjadł z ręki,

bałam się by się nie zadławił, ale radził sobie doskonale, nie wiedziałam co począć. Leżał „rozciągnięty”, nigdy nie widziałam go w takim stanie, wyglądał strasznie. Serce pracowało bardzo nierówno. Musiał mieć bóle.

Bezradność moja była zupełna, na domiar złego posłyszałam, że jest polecenie, aby dać mu spokój, nie męczyć konia — dać mu spokojnie skończyć życie — nic tu już się zrobić nie da. Taka była diagnoza lekarzy. Pewna byłam, że on właśnie teraz ode mnie oczekuje pomocy. Zaczęłam więc działać nie bardzo wiedząc co i jak. Wiedziałam jedno, że leżąc na jednym boku dostanie zapalenia płuc i odleżyn. Tymczasem zjawili się masztalerze i na moją prośbę zdecydowali, że konia podniosą sami. Przy niewielkiej pomocy Aquino zerwał się, stanął znów, piękny jak dawniej, wyciągnął szyję, otrząsnął się. Serce ścisnęło mi z wrażenia. Wydawało się przez chwilę, że jest w najlepszej formie. Masztalerze zaczęli go rozcierać, dano mu glukozę, zjadł marchew. Przygotowaliśmy wodę z cukrem (była może za słodka, bo nie tknął). Radość ogarnęła wszystkich. Trwało to jednak krótko, przykryto go derką, bo znów zaczął się pocić i wspinać. Wyraźny był bezwład przodu. Wyszliśmy z boksu. Przypominając by go pilnowano, wróciłam do domu. Po 10 minutach był telefon ze stajni, że Aquino położył się — tym razem na prawy bok. Więcej go nie widziałam. O 11 wieczorem zakończył życie. W oczach pozostał mi piękny jak zawsze.

W poniedziałek 6 listopada odbył się jego pogrzeb, leży pod stajnią, obok miejsca, gdzie już dawniej pochowano Skarba. Ze ściśniętym sercem z daleka, przez opadłe liści drzewa obserwowałam jego ostatnią drogę. Mam koszyk z jego grzywy, zrobiło mi się bardzo pusto i smutno.

Proszę mi wybaczyć taką przydługą opowieść, w której tyle jest szczegółów z mego prywatnego życia. Ale Aquino był kimś, kimś wyjątkowo związanym ze mną. Był tym pięknym stworzeniem, z którym zbiegły się moje losy. Odejście tego konia było dla nas wielkim przeżyciem. Duży głaz z wyrytą datą i imieniem będzie pamiątką po tym wspinałym, mądrym koniu, będzie kawałkiem historii tej najstarszej państwowej stadniny koni pełnej krwi.